



**Prawda umiera
między stacjami**

Tekst: Mikołaj K.

Redakcja, skład i okładka: Kamil Gopaniuk

Wydawca

Cyfryzacja Sp. z o.o.

Wasilków

kontakt@cyfryzacja.eu

ISBN: 978-83-974446-1-4

Prawda umiera między stacjami

**DARMOWY
FRAGMENT**

Mikołaj K.

Białystok, 2025

*„Nie jestem po to, żeby świat był lepszy.
Jestem po to, żeby zło miało z kim przegrać.”*

— Stanisław Krzyż

Rozdział I

Wiedeńska sonata

Poranek pachniał deszczem i starym asfaltem. Stanisław Krzyż stał pod filarem kamienicy przy Rynku Kościuszki, paląc papierosa i patrząc na ludzi, którzy śpieszyli do pracy z tym samym wyrazem twarzy, jaki mieli wczoraj, tydzień temu, rok temu. Białystok budził się powoli, jakby nie do końca chciał.

Deszcz spływał po płytach chodnika, zbierał się w kałużach pełnych odbitych światła i twarzy, które minęły już dawno. Krzyż zaciągnął się głęboko, obserwując kobietę w czerwonym płaszczu przechodzącą przez plac. Miała ten sam płaszcz od trzech lat. Wiedział, bo widywał tę piękną blondynkę każdego ranka. Nigdy nie zamienili słowa. W Białymstoku tak właśnie żyło się – obok siebie, nie ze sobą.

Telefon zawibrował w kieszeni płaszcza. Krzyż spojrział na wyświetlacz. Numer z Brukseli. Europol. Oczywiście. Bo nikt nie dzwoni z Brukseli, żeby życzyć miłego dnia. Zgasił papierosa o ścianę, zostawiając kolejny ślad w długiej galerii poprzednich śladów, i odebrał.

— Krzyż.

— Komisarzu — głos po drugiej stronie był młody, wyprostowany, pełen tej irytującej energii, jaką mają ludzie, którzy dopiero zaczynają wierzyć w porządek. — Mówi Weber, Europol, wydział koordynacji. Zostałem przydzielony do współpracy z panem.

— Mhm.

— Chcielibyśmy zlecić Panu sprawę.

— Mhm.

— Wiedeń. Otruty cyjankiem kompozytor, Leo Hartmann. Niejasne okoliczności śmierci. Zna go pan?

— Nie słucham klasyki.

— Znaleziono go w apartamencie, trzy dni temu. Bez śladów włamania, bez walki. Ale jest coś dziwnego, obca krew.

Krzyż zapalił kolejnego papierosa.

— Dziwna?

— Dwie fiołki – jedna ze starą krwią, druga z trucizną. Trudno mi to wyjaśnić, ale potrzebujemy kogoś, kto myśli inaczej.

— Inaczej to znaczy jak?

— Tak jak pan.

Krzyż westchnął. Przez szczelinę w chmurach przebił się blady promień słońca, ale zaraz zgasł, jakby sam nie wierzył w swoją obecność.

— Kiedy?

— Dziś. Wieczorem byłby pan na miejscu.

— Wieczorem to chyba lotem?

— Oczywiście. Najbliższy samolot z Warszawy...

— Nie latam.

Cisza po drugiej stronie była wymowna.

— Komisarzu, to... to Wiedeń, nie Łomża. Pociągiem...

— Pociągiem dotrę jutro rano. Powiedz Austriakom, że trup nie ucieknie.

— Strach przed lataniem? — Dopytał Weber.

— Na granicy z torturą. Ale może pan przekazać przełożonym, że jestem proekologiczny. U was to teraz modne.

Weber odchrząknął, jakby połknął coś, co nie chciało mu przejść przez gardło.

— Dobrze. Wysłałam szczegóły mailem. I... dziękuję.

Krzyż rozłączył się bez pożegnania. Spojrzał na telefon, potem na plac, gdzie kobieta w czerwonym płaszczu znikła już za rogiem ulicy Lipowej. Wiedeń. Oczywiście. Bo Białystok to za mało, żeby człowiek mógł w końcu odpocząć.

Wrócił do mieszkania tylko po torbę. Małe mieszkanie na trzecim piętrze, meble z PRL-u, okno wychodzące na podwórko, gdzie coś zawsze kapalo – woda, krew, czas. Wziął szczoteczkę do zębów, czystą koszulę, Glocka 17 w kaburze, którego nosił od lat – stary, niezawodny, jak zły nawyk. Spakował się w pięć minut. Nie miał nic, do czego warto by wracać.

Dworzec kolejowy o jedenastej. Ludzie tłoczyli się przy kasach, krzyczeli do telefonów, ciągnęli walizki jak własne życiorysy – za ciężkie, za długie, za głośnie. Krzyż kupił bilet do Warszawy, potem dalej do Wiednia przez Pragę. Przesiadki. Zawsze przesiadki. Jakby świat nie umiał ułożyć się w prostą linię.

Pociąg ruszył punktualnie, co było pierwszym zaskoczeniem tego dnia. Krzyż usiadł przy oknie w przedziale pierwszej klasy, którą opłacił Europol, i patrzył, jak Białystok znika za horyzontem lasów i pól, które wyglądały tak samo od stu lat.

Nic się tu nie zmieniało, tylko ludzie przychodzili i odchodzili, a ziemia trwała.

Po godzinie poszedł do wagonu barowego. Potrzebował kawy i ciszy, choć wiedział, że ciszy w pociągu nie ma – jest tylko jej złudzenie. Za ladą stał barman z twarzą jak wyschnięta ścierka i nastawieniem, które mówiło: „żyję, ale niewiele co mnie obchodzi”. Krzyż zamówił czarną kawę, bez cukru, bez mleka, bez pytań.

— Może coś mocniejszego? — Zapytał barman, stawiając szklankę.

— Jeszcze nie — odpowiedział mu Krzyż.

Usiadł przy stoliku pod oknem. Krajobraz mknie za szybą: drzewa, przystanki, małe miasta, które wyglądają jak kartki wyrwane z książki, której już nikt nie czyta.

Wtedy ją zobaczył.

Siedziała dwa stoliki dalej, tyłem do niego, ale odbicie w szybie mówiło wszystko. Ciemne włosy związane luźno, twarz drobna, ale zdecydowana. Ubrana w ciemny płaszcz. Przed sobą miała szklaneczkę czerwonego wina i otwarty notes. Pisała coś, ołówkiem, bardzo powoli, jakby słowa kosztowały ją więcej niż chciała.

Krzyż wiedział, że powinien odwrócić wzrok. Ale nie odwrócił.

Pociąg zakołysał się, kobieta uniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się w odbiciu szyby. Przez ułamek sekundy – długi, ciężki, jak kamień rzucony w wodę.

Potem odwróciła się i spojrzała na niego wprost.

— Pan też ucieka? — Zapytała, głosem spokojnym, jakby pytała o godzinę.

Krzyż uniósł brew.

— Od czego?

— Od wszystkiego — uśmiechnęła się, ale to nie był uśmiech radości. To był uśmiech ludzi, którzy wiedzą, że pytania są ważniejsze od odpowiedzi.

Krzyż wziął łyk kawy. Była gorzka, ale gorąca.

— Jadę do pracy.

— A ja jadę od niej — kobieta uniosła szklankę, jakby wznosiła toast. — Do Warszawy?

— Skąd pani wie?

— Bo ten pociąg jedzie tylko tam — wstała, wzięła notes i wino, podeszła do jego stolika. — Mogę?

Krzyż nie odpowiedział, co ona potraktowała jako zgodę. Usiadła naprzeciwko, położyła notes na stole. Z góry widział

kilka zapisanych linijek. Wiersze. Albo coś, co próbowało nimi być.

— Jestem Hanna — wyciągnęła rękę.

— Stanisław.

Uścisk był krótki, ale pewny. Jej dłoń była chłodna.

— Co pana goni do Warszawy, Stanisławie?

— Przesiadam się do Wiednia. Praca, jak mówiłem.

— Jaka praca?

— Taka, o której się nie mówi w pociągach.

Hanna uśmiechnęła się znowu, ale tym razem było w tym coś prawdziwego.

— Policja?

— Coś w tym stylu.

— Więc pan też ratuje świat.

— Świat sobie radzi. Ja tylko sprzątam.

Pociąg wjechał w tunel. Przez moment wagon pogrążył się w ciemności, tylko lampy nad stolikami rzuciły blade światło. Krzyż widział jej twarz w tym świetle – zmęczoną, ale żywą, jakby uciekała od czegoś, co jeszcze za nią biegło.

— A pani? — Zapytał — od czego pani ucieka?

Hanna pociągnęła łyk wina, patrząc w okno, gdzie teraz było tylko ciemne odbicie ich obu.

— Od człowieka, który myślał, że mnie zna.

Krzyż nie pytał dalej. Wiedział, że niektóre odpowiedzi przychodzą same, albo wcale.

Pociąg wyjechał z tunelu. Za oknem znów las, pola, niebo szare jak stalowa płyta.

— Mówią, że Wiedeń jest piękny — powiedziała cicho.

— Mówią dużo rzeczy — odparł Krzyż — najczęściej kłamią.

Hanna spojrzała na niego z ukosa.

— Pan nie wierzy w piękno?

— Wierzę. Ale nie w miasta.

Skinęła głową, jakby to było coś, co rozumiała lepiej, niż chciała się przyznać.

— Wie pan, co mi się podoba w pociągach? — Zapytała.

— Co?

— Że można uciec, ale nigdy nie wiadomo, czy przed czymś, czy do czegoś.

Krzyż dopił kawę. Była już zimna.

— Zwykle to jedno i drugie.

Hanna oparła się wygodniej o oparcie, trzymając szklankę wina przy ustach, jakby to był talizman chroniący przed zbyt szybkimi słowami.

— Pan nie wygląda na człowieka, który ucieka — powiedziała w końcu.

— Bo nie uciekam. Jadę.

— To nie to samo?

— Nie. Jak uciekasz, to się boisz. Jak jedziesz, to już się poddałeś.

Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu było coś smutnego, jakby ktoś zapalił świeczkę w pustym kościele.

— Pięknie pan to ujął. Chociaż brzmi okropnie.

— Prawda zwykle brzmi okropnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Pociąg dudnił miarowo, rytm kół na szynach był jak bicie serca – mechaniczne, nieuniknione, trochę za głośne. Krzyż spojrzał na jej notes. Kartki pokryte były drobnym, starannym pismem. Nie mógł odczytać słów, ale widział skreślenia, poprawki, miejsca, gdzie ołówek wbijał się głębiej w papier.

— Pisz pani? — Zapytał, wiedząc, że to pytanie brzmi banalnie, ale czasem banał otwierał drzwi, których klucz był zbyt skomplikowany.

— Próbuje — zamknęła notes szybkim ruchem — ale wychodzi mi zawsze to samo. Żale, wspomnienia, rzeczy, które powinnam była zostawić tam, gdzie były.

— Może właśnie dlatego warto to pisać.

Spojrzała na niego ostro, jakby szukała w jego twarzy czegoś, czego spodziewała się nie znaleźć.

— Pan mówi jak ktoś, kto ma swoje żale.

Krzyż zapalił papierosa, ignorując spojrzenie barmana. W wagonie barowym nikt nie przestrzegał regulaminów.

— Każdy ma. Pytanie, czy z nimi rozmawia, czy je zakopuje.

— A pan?

— Palę je — uniósł papierosa — i wypijam.

Hanna roześmiała się cicho, ale w tym śmiechu było coś łagodnego, jakby w końcu trafiła na kogoś, kto nie udaje, że życie ma sens.

— Mój były mąż mówił, że picie i palenie to dla ludzi słabych.

— Pani mąż był idiotą.

— Był. Jest. Pewnie zawsze będzie — pociągnęła kolejny łyk wina

— ale to ja od niego uciekłam, więc kto tu jest słabszy?

— Ta, która miała odwagę.

Spojrzała na niego dłużej, jakby chciała sprawdzić, czy te słowa są szczere, czy tylko grzecznością. Krzyż nie odwracał wzroku. Nauczył się, że ludzie widzą prawdę, kiedy jej nie wypowiadasz – słowa częściej kłamią.

— Dziękuję — powiedziała w końcu cicho.

Pociąg zwalniał. Za oknem pojawiła się stacja – mała, szara, nazwa nieczytelna przez deszcz na szybie. Kilka osób czekało na peronie z walizkami i parasolami, jakby wiedzieli, że życie to tylko seria przesiadek.

— Warszawa za dwie godziny — powiedział Krzyż, patrząc na zegarek.

Hanna otworzyła notes, wyjęła z niego małą wizytówkę i położyła na stole. — Gdyby pan kiedyś był w Warszawie i chciał pan pogadać. Albo po prostu wypić kawę z kimś, kto nie pyta za dużo.

Krzyż wziął wizytówkę. *Hanna Mazur. Redakcja „Echa Stolicy”*. Telefon, mail. Nic więcej.

— Dziennikarka?

— Była. Teraz próbuję być pisarką. Ale nikt tego jeszcze nie wie, łącznie ze mną.

— Powodzenia.

— Panu też. — Wstała, wzięła notes i torebkę. — Nieważne, co pan tam będzie sprzątał w Wiedniu, niech pan o sobie dba.

— Zawsze dbam.

— Nie wygląda pan.

Uśmiechnęła się, wstała z walizką w rękę, ale nie odeszła od razu. Zatrzymała się, jakby coś ją jeszcze trzymało.

— Wie pan co? — Powiedziała, odwracając się. — Kłamałam.

Krzyż uniósł brew.

— W czym?

— W tym, że nie pytam za dużo — oparła się o stół, patrząc mu prosto w oczy — bo chciałabym zapytać o dużo więcej.

— Na przykład?

— Na przykład, czy mężczyzna, który ratuje świat i mówi, że już się poddał, budzi się w nocy i żałuje, że wstał rano.

Krzyż zaciągnął się papierosem, wypuszczając dym w jej kierunku. Nie odwróciła wzroku.

— Czasem — odpowiedział — ale rano wstaję i tak.

— Bo trzeba?

— Bo inaczej nic nie ma sensu. Nawet to, że się go szuka.

Hanna odłożyła walizkę, usiadła z powrotem. Tym razem bliżej, na krześle obok, nie naprzeciwko. Ich kolana niemal się stykały.

— Wie pan, co jest najgorsze w uciekaniu? — Zapytała, bawiąc się krawędzią notesu.

— Że się nie ucieka wystarczająco szybko.

— Nie. Że na końcu i tak jest tylko człowiek i jego myśli. Mogę być w Warszawie, w Paryżu, cholera, nawet w Tokio — ale to, przed czym uciekam, zawsze będzie jechało tym samym pociągami.

Krzyż zgasił papierosa.

— A co by było, gdyby przestała pani uciekać?

— Wtedy musiałabym się temu przyjrzeć. I nie jestem pewna, czy jestem gotowa.

— Nikt nigdy nie jest gotowy. Ludzie tylko udają, że są, i nazywają to odwagą. Spojrzała na niego tak, jakby widziała coś, czego nikt inny nie widział. Coś starego, zmęczonego, ale jeszcze żywego.

— Pan też udaje?

— Nie. Ja już dawno przestałem. Teraz tylko patrzę, ile wytrzymam, zanim się posypię.

— I jak idzie?

— Jeszcze nie upadłem.

Hanna uśmiechnęła się, ale to nie był już uśmiech smutny. To był uśmiech kogoś, kto wreszcie spotkał drugą osobę w ciemnym tunelu.

— Wie pan, co sobie teraz pomyślałam?

— Że rozmawia pani z wariatem w pociągu?

— Że chciałabym, żeby ten pociąg jechał wolniej.

Krzyż spojrzał na nią uważnie. Przez moment zastanawiał się, czy to kokieteria, czy szczerłość. A może jedno i drugie. Czasem granica między nimi była cieńsza niż linia na kartce jej notesu.

— Bo lubi pani pociągi?

— Bo lubię rozmowy, które kończą się, zanim staną się kłamstwem.

— A kłamstwo to co? Trzecia stacja? Czwarta?

— Nie wiem — pochyliła się lekko w jego stronę — ale wiem, że teraz jeszcze nie kłamiemy.

Za oknem znów las, pola, szarość. Pociąg dudnił miarowo, jak serce, które nie chce przestać bić, ale już nie wie, po co.

— Ma pani rację — powiedział Krzyż — jeszcze nie.

Hanna sięgnęła po jego papierosa z popielniczki, zanim zgasł całkiem. Wzięła jeden zaciąg, potem oddała.

— Pali pan, bo to zabija czas?

— Bo to zabija mnie. Wolniej, ale pewniej.

— A ja piszę — powiedziała, stukając palcem w notes — z tego samego powodu.

— Żeby zabić czas?

— Żeby zabić siebie. Po kawałku. Słowo po słowie. Tak długo, aż nic nie zostanie.

Krzyż spojrzał na jej dłoń, wciąż spoczywającą na notesie. Palce długie, bez pierścionka. Paznokcie krótko obcięte, jakby bała się, że jeśli zostaną dłuższe, mogłyby kogoś zranić.

— Ale coś zawsze zostaje — powiedział.

— Co?

— To, co piszemy. To, co mówimy. To, co robimy ludziom, nawet jeśli nie chcemy.

Hanna zaśmiała się cicho, smutno.

— Pan jest pesymistą?

— Nie. Realistą. Pesymiści wierzą, że wszystko jest złe. Ja wiem, że wszystko jest tylko tak złe, jak my je robimy.

— Więc jest nadzieja?

— Nie wiem. — Krzyż sięgnął po szklankę jej wina, uniósł do ust, ale nie pił. Tylko wąchał. — Ale jeśli jest, to pewnie siedzi w pociągu i ucieka przed mężem.

Uśmiechnęła się, tym razem szeroko, prawie szczerze.

— Albo jedzie do Wiednia sprzątać brudy innych.

— To też forma nadziei.

— Jaka?

— Że jeszcze komuś zależy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nie było w tym nic niezręcznego, nie było napięcia. Po prostu byli — dwoje ludzi w pociągu, którzy wiedzieli, że to spotkanie ma datę ważności i że ta data kończy się za niespełna dwie godziny.

— Gdybym pana spotkała pięć lat temu — powiedziała Hanna — chyba bym się panu nawet nie przyjrzała.

— Dlaczego?

— Bo pięć lat temu jeszcze wierzyłam, że życie ma plan. I że ludzie, których spotykam, są częścią tego planu.

— A teraz?

— Teraz wiem, że życie nie ma planu. Ma tylko chwile. I albo się je bierze, albo się je traci.

Krzyż odstawił jej szklankę.

— A co pani zamierza zrobić z tą chwilą?

Hanna patrzyła na niego długo, intensywnie. Jej oczy miały kolor ciemnego miodu, ale były w nich iskry czegoś ostrzejszego — może gniewu, może pragnienia, może po prostu zmęczenia udawaniem, że wszystko ma sens.

— Nie wiem — odpowiedziała w końcu — ale nie chcę jej stracić.

Krzyż skinął głową. Wiedział, że to nie jest zaproszenie. To było pytanie. I wiedział też, że odpowiedź nie może być słowem. Słowa były za słabe, za mało precyzyjne. Słowa kłamały, nawet kiedy mówiły prawdę.

— Wie pani — zaczął powoli — jest taka teoria, że każdy człowiek spotyka w życiu kilka osób, które mogą go zmienić. Ale większość ludzi obok nich przechodzi, bo się boi.

— Czego?

— Że zmiana boli bardziej niż trwanie w tym samym.

Hanna pochyliła się jeszcze bliżej. Jej kolano dotknęło jego.

— A pan się boi?

— Nie. Ja już tyle razy się zmieniałem, że nie wiem, kto teraz siedzi w tym pociągu.

— Może ten sam człowiek. Tylko bardziej zmęczony.

— Może.

Pociąg znów wjechał w tunel. Wagony pogrzażyły się w ciemności, tylko lampy nad stolikami rzucały blade, żółte światło. W tym świetle jej twarz wyglądała jak maska — piękna, ale niepewna, jakby próbowała się ukryć i jednocześnie pokazać.

— Wie pan, co bym zrobiła, gdybym miała odwagę? — Zapytała szeptem.

— Co?

— Pocałowałabym pana. Teraz. Tutaj. I nie pytałabym o zgodę.

Krzyż nie odpowiedział. Patrzył na nią, czując, jak serce bije mu wolniej, mocniej, jakby organizm próbował zdecydować, czy to alarm, czy nadzieja.

— Ale nie mam odwagi — dodała.

— Bo się pani boi?

— Bo wiem, że jak to zrobię, to ten pociąg nigdy nie dojedzie na miejsce.

— A to źle?

— Nie wiem — Hanna zamknęła oczy — ale chyba tak. Bo ja muszę dojechać. Muszę uciec. I nie mogę się zatrzymać, bo jak się zatrzymam, to...

Nie dokończyła. Nie musiała. Krzyż wiedział, co chciała powiedzieć. Wiedział, bo sam to czuł — ten strach, że jeśli się zatrzymasz, jeśli spojrzysz za siebie, to zobaczysz wszystkie

trupy, które zostawiłeś po drodze. Wszystkie słowa, których nie powiedziałeś. Wszystkie decyzje, które zabiły coś w tobie, zanim zdążyło się urodzić.

— To niech pani nie całuje — powiedział w końcu.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego zaskoczona.

— Co?

— Niech pani nie całuje. Niech pani zostanie tutaj, w tej chwili, i po prostu... będzie.

— Być?

— Tak. Bez decyzji. Bez konsekwencji. Tylko my, ten pociąg i trochę czasu, który jeszcze został.

Hanna milczała. Potem skinęła głową i oparła się o jego ramię. Nie pytała o zgodę. Po prostu położyła głowę i zamknęła oczy. Krzyż poczuł ciężar jej ciała, ciepło, zapach jej włosów — coś delikatnego, może jaśmin, może wanilia, może tylko wspomnienie czegoś, co kiedyś kochał.

Pociąg wyjechał z tunelu. Światło wpadło do wagonu jak intruz, bezwzględne, jasne, prawdziwe. Ale ona nie otworzyła oczu. Siedzieli tak, w bezruchu, jakby byli obrazem namalowanym na kartce jej notesu.

— Wie pan, co jest najgorsze? — Zapytała, nie unosząc głowy.

— Co?

— Że to naprawdę działa.

— Co?

— Ta chwila. To, że nic nie robimy. Że nic nie mówimy. Że po prostu jesteśmy.

Krzyż uśmiechnął się, choć ona tego nie widziała.

— To znaczy, że pani żyje.

— Albo że umieramy wolniej.

— To też jakaś forma życia.

Hanna roześmiała się cicho. Jej dłoń zsunęła się z notesu i spoczęła na jego ramieniu.

— Jest pan dziwny — powiedziała.

— Wiem.

— I smutny.

— Wiem.

— I chyba właśnie dlatego...

Nie dokończyła. Podniosła głowę, spojrzała mu w oczy. Przez moment wyglądało, jakby chciała coś powiedzieć, coś ważnego, coś, co mogłoby zmienić wszystko. Ale w końcu tylko uśmiechnęła się i pocałowała go — szybko, lekko, w policzek, jak przyspieszony oddech, jak przeprosiny za coś, czego nie zrobiła.

— Dziękuję — szepnęła.

— Za co?

— Za to, że pan nie skłamał.

Wstała. Wzięła notes, walizkę, torebkę. Poprawiła włosy, prostując się, jakby wracała do roli kobiety, która ucieka, nie kobiety, która została.

— Warszawa za pół godziny — powiedziała.

— Wiem.

— Nie będę czekać na peronie.

— Wiem.

— I pan nie zadzwoni.

— Nie zadzwonię.

Spojrzała na niego ostatni raz. W jej oczach było coś, co wyglądało jak żal, ale może to był tylko cień światła za oknem.

— Niech pan dobrze posprząta ten Wiedeń — powiedziała.

— Postaram się.

— I niech pan czasem spojrzy w niebo. Bo tam, gdzie pan jedzie, podobno niebo jest piękne.

— Mówią. Ale ja nie wierzę w miasta.

— Ja też nie. — Uśmiechnęła się smutno. — Ale wierzę w chwilę.

Wyciągnęła kartkę, długopis. Coś zapisała. Położyła na stoliku, gdy Krzyż nie patrzył. Odwróciła się i wyszła z wagonu barowego, nie oglądając się. Krzyż siedział bez ruchu, patrząc na jej puste krzesło, na szklankę wina, na miejsce, gdzie leżał jej notes.

Barman podszedł, zabrał szklankę.

— Pana znajoma?

— Nie. Tylko kobieta w pociągu.

— Szkoda.

Krzyż zapalił kolejnego papierosa i wyjrzał przez okno. Krajobraz mknął dalej — szary, monotonny, jak życie, które nie chce się skończyć, ale już nie wie, jak żyć.

Pociąg zwalniał. Warszawa. Przesiadka. Jak zawsze.

Wstał, wziął płaszcz, torbę. Na stoliku zauważył coś białego — kartkę wyrwaną z notesu, złożoną na pół. Podniósł ją, otworzył.

„Nie jestem pewna, czy piszę wiersz, czy list. Ale wiem, że chciałabym, żeby pan przeczytał.

P.S. Kłamałam. Będę czekać na peronie. Przez minutę. Może dwie. I będę się modlić, żeby pan nie przyszedł. Bo jeśli pan przyjdzie, to ja nie wiem, co zrobić.”

Krzyż złożył kartkę, schował do kieszeni. Wyszedł z pociągu.

Peron był pełen ludzi — pośpiesznych, zmęczonych, obojętnych. Szukał jej wzrokiem, ale nie znalazł. Może wyszła. Może kłamała. Może modlitwa została wysłuchana.

Zatrzymał się przy kiosku, kupił kawę. Gorącą, mocną, bez cukru. Spojrzał na zegar. Trzy minuty do odjazdu pociągu do Wiednia.

I wtedy ją zobaczył.

Stała przy końcu peronu, w ciemnym płaszczu, z notesem w rękę. Patrzyła w jego stronę, ale nie podchodziła. Tylko stała, jakby czekała na znak, którego nie wiedziała, jak dać.

Krzyż spojrzał na nią długo. Potem uniósł kawę, jakby wznosił toast, i uśmiechnął się — krótko, smutno, jak człowiek, który wie, że niektóre pociągi trzeba złapać, a niektóre trzeba puścić.

Odwróciła wzrok. Odczuła ulgę. Ruszyła w stronę wyjścia.

Krzyż wszedł do swojego pociągu. Usiadł przy oknie, zapalił papierosa. Pociąg ruszył. Wiedeń czekał. Jak zawsze. Jak wszystko, co ma datę ważności. Ale w kieszeni wciąż miał jej kartkę. I wiedział, że nigdy jej nie wyrzuci.

Telefon zawibrował. SMS od Webera: *Austriacy będą czekać na stacji. Auto będzie podstawione. Szczegóły sprawy na mailu.*

Krzyż nie odpowiedział. Otworzył pocztę, przewinął do maila od Europolu. Zdjęcia, raport, podstawowe dane.

Ofiara: Leo Hartmann, 52 lata, kompozytor, znany w środowisku, ostatnio pracował nad operą opartą na tekstach Rilkego. Mieszkał sam w luksusowym apartamencie w centrum Wiednia.

Okoliczności: znaleziony martwy przez sprzątaczkę. Ciało w salonie, w fotelu, żadnych śladów walki. Przyczyna zgonu: zatrucie, prawdopodobnie cyjankiem podanym doustnie. Brak śladów włamania.

Na miejscu znaleziono dwie fiołki. W jednej resztki cyjanku. W drugiej próbka zdegradowanej krwi. Sugestia, że może pochodzić sprzed kilkudziesięciu lat.

Krzyż zamknął telefon i przeszedł z baru do przedziału sypialnego – wąska koja, okno pokryte kroplami deszczu, zapach starego dymu i nowych prześcieradeł. Położył się ubrany, Glock pod poduszką, i patrzył, jak za oknem mknie Europa.

Granice. Lasy. Miasta. Wszystko wyglądało tak samo – szare, zmęczone, jakby kontynent też czekał na coś, co nigdy nie przyjdzie.

Zasnął gdzieś koło północy, kiedy pociąg grzmiał przez czeskie wzgórza. Sen był ciężki, pełen twarzy i głosów, które znał, ale nie pamiętał. I jeden głos, który pamiętał za dobrze.

— *Wrócisz?*

— *Zawsze wracam.*

— *A jeśli nie?*

Obudził się nagle, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Pradze. Było wpół do czwartej rano. Za oknem ciemność, światła peronu, kilka postaci w płaszczach czekających na coś lub kogoś.

Krzyż wstał, umył twarz w maleńkiej umywalce, spojrzał w lustro. Twarz przeorana, blizna na policzku, oczy jak dwa spalone diamenty.

Nie jestem po to, żeby świat był lepszy.

Jestem po to, żeby zło miało z kim przegrać.

Pociąg ruszył dalej. Do Wiednia zostało jeszcze pięć godzin.

Krzyż zapalił papierosa przy uchylonym oknie i patrzył, jak noc powoli ustępuje miejsca świtu. Europa budziła się. A on jechał prosto w jej cień.

Wiedeń przywitał go deszczem. Oczywiście. Jakby każde miasto, do którego jechał, musiało pachnieć mokrym asfaltem i rozczarowaniem.

Dworzec Hauptbahnhof był nowoczesny, szklany, pełen ludzi w garniturach i turystów z aparatami, jakby próbowali udowodnić, że to, co widzą, naprawdę istnieje. Krzyż wysiadł z pociągu o szóstej trzydzieści, torbę przewiesił

przez ramię i ruszył w stronę wyjścia, ignorując głosy w megafonach i mrugające ekrany z rozkładami jazdy.

Przed dworcem czekało czarne BMW z austriackimi tablicami. Za kierownicą siedział młody facet w ciemnym garniturze, włosy zaczesane do tyłu, broda przystrzyżona idealnie. Krzyż od razu go nie lubił. Zbyt czysto. Zbyt ułożenie. Zbyt bardzo jak ktoś, kto nigdy nie musiał rozwalić sobie nocy, żeby znaleźć coś, czego inni woleli nie wiedzieć.

Facet wysiadł, gdy Krzyż się zbliżył.

— Komisarz Krzyż? — Zapytał po niemiecku z lekkim wiedeńskim akcentem.

— To zależy, kto pyta, odpowiedział po niemiecku Krzyż.

— Inspektor Matthias Klein, wiedeńska Kripo. Mam pana zawieźć na miejsce.

Krzyż rzucił torbę na tylne siedzenie i wsiadł z przodu. Nie lubił siedzieć z tyłu. Klein wsiadł za kierownicę, odprowadził wzrokiem kilka mijających ich kobiet i ruszył. Miasto budziło się powoli – tramwaje, rowery, ludzie z kawą w plastikowych kubkach, jakby próbowali przeżyć jeszcze jeden dzień.

— Jak podróż? — Zapytał Klein grzecznościowo.

— Długa.

— Mógł pan polecieć.

— Mogłem.

Klein spojrział na niego kątem oka, ale nic nie powiedział. Miły chłopak. Albo po prostu dobrze wyszkolony.

Jechali w milczeniu przez centrum. Wiedeń wyglądał jak z kartki pocztowej – kamienice, pałace, kościoły, wszystko pięknie odnowione, wszystko na swoim miejscu. Krzyż patrzył przez szybę i myślał, że miasta takie jak to zawsze okłamują. Im więcej złota na fasadzie, tym więcej krwi w piwnicach.

— Czytał pan raport? — Zapytał Klein.

— Czytałem.

— I co pan o tym myśli?

— Myślę, że ten facet popełnił samobójstwo albo ktoś mu podał truciznę.

— Ta krew... ona jest dziwna.

— Nie wiadomo czyja ona jest?

— Wiadomo, że nie Hartmanna.

Klein zwolnił na czerwonym świetle. Tramwaj przejechał przez skrzyżowanie, pełen ludzi przytulonych do okien jak śledzie w puszcze.

— Wie pan, Hartmann był kimś ważnym — powiedział Klein.

— Komponował dla opery, znali go wszyscy. Ludzie płaczą w mediach.

— Ludzie zawsze płaczą. Potem przestają.

— Okrutnie pan to ujął.

— Okrutna jest tylko prawda. Reszta to PR.

Klein uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział. Jechali dalej, przez wąskie uliczki, gdzie kamienice przypierały się do siebie jak starcy w kolejce po chleb. W końcu zatrzymali się przed eleganckim budynkiem z fasadą w kolorze kremowym i balkonami pełnymi kwiatów, które ktoś podlewał mimo deszczu.

— Tutaj — powiedział Klein, wyłączając silnik. — Piąte piętro, apartament numer dwanaście.

Krzyż wysiadł, rozejrzał się. Ulica spokojna, wąska, kilka kawiarni, sklep z antykami, nikogo na chodnikach. Dobra okolica. Taka, gdzie morderstw się nie popełnia, bo to psuje atmosferę.

Weszli do budynku. Klatka schodowa czysta, wykładzina gruba, lampy stylizowane na XIX wiek, jakby ktoś chciał przypomnieć, że historia to nie tylko data w książce. Klein wezwał windę, ale Krzyż ruszył schodami.

— Komisarzu, to piąte piętro — powiedział Klein, próbując go dogonić.

— Wiem.

— Dlaczego nie windą?

— Bo w windzie nie widać, kto tu mieszka.

Schody były szerokie, poręcze mosiężne, na półpiętrach stały doniczki z roślinami. Na pierwszym piętrze drzwi z wizytówką: *Dr Maria Steiner, Rechtsanwältin*. Na drugim: *Familie Kovač*. Trzecie: *Atelier Rossini – Restaurierung*.

Piąte piętro było ciche jak grób. Drzwi do apartamentu numer dwanaście były zapieczętowane żółtą taśmą policyjną. Klein dołączył do niego po chwili, lekko zasapany.

— Klucz? — Zapytał Krzyż.

Klein wyjął pęk kluczy, otworzył zamek. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Krzyż wszedł pierwszy.

Apartament był duży, przestronny, o wysokich sufitach i oknach wychodzących na ulicę. Salon pełen książek, nut, instrumentów — stary fortepian Bösendorfer w rogu, wiolonczela oparta o ścianę, regały uginające się pod ciężarem partytur. Wszystko uporządkowane, czyste, pachniało starym papierem i czymś

jeszcze – słodkim, mdłym zapachem, który Krzyż znał za dobrze. Śmierć zostawiała swój zapach, nawet po wyniesieniu ciała.

Klein zatrzymał się w progu.

— Ciało znaleziono tam — wskazał na fotel przy oknie, duży, skórzany, ciemnobrązowy.

Krzyż podszedł. Na podłodze wciąż widać było ślady kredy, którą technika oznaczała pozycję ciała. Fotel był ustawiony tak, żeby patrzeć przez okno – na ulicę, na drzewa, na niebo, które teraz było szare jak ołów.

— Siedział? — Zapytał Krzyż.

— Tak. Głowa oparta o zagłówek, ręce na poręczach. Jakby... spał.

— Ale nie spał.

— Nie. Cyjanek działa szybko. Kilka minut, może krócej.

Krzyż przykucnął, przyjrzał się podłodze. Żadnych śladów walki, żadnych plam, żadnych śladów butów oprócz tych, które zostawiła policja. Na stoliku obok fotela stała szklanka, pusta, zapieczętowana w plastikowym worku.

— To była whisky? — Zapytał.

— Tak. Single malt, dobra marka. Trucizna była w szklance. Hartmann wypił. Pytanie brzmi czy świadomie?

— Kto ostatni go widział?

— Sprzątaczką, pani Müller. Przychodzi dwa razy w tygodniu. Była w poniedziałek rano, wtedy wszystko było w porządku. We wtorek nie było go na próbie w operze, co było dziwne, bo nigdy nie opuszczał prób. W środę pani Müller wróciła, znalazła go martwego.

— Dzwonił do kogoś? SMS-y?

— Sprawdzaliśmy telefon. Ostatnia wiadomość była w poniedziałek wieczorem, do kolegi kompozytora, coś o partyturze Mahlera. Nic podejrzanego.

Krzyż wstał, rozejrzał się po salonie. Wszystko na swoim miejscu. Żadnego chaosu, żadnych znaków paniki.

— Ktoś może przyszedł, wsypał truciznę, poszedł. Albo Hartmann sam jej sobie nasypał — głośno myślał Krzyż — a ta krew? — Zapytał.

Klein wyjął z kieszeni tablet, otworzył plik, podał Krzyżowi. Na ekranie widoczny był raport z laboratorium.

— Znalezione dwie fiołki przy fotelu. Jedna z tą starą krwią, druga z resztkami cyjanku potasu. Krew nie należała do Hartmanna. Sekcja zwłok nie wykazała u niego żadnych ran na ciele. Ta krew była jak z laboratorium, we fiołce, zamknięta. Badanie wykazało, że jest częściowo zdegradowana. Bardzo stara. W laboratorium powiedzieli mi, że to niemożliwe, że ktoś

żywy zostawił taki ślad. Ocenili, że próbka może mieć kilkadziesiąt lat.

Krzyż spojrzał na niego. Odwrócił się, podszedł do fortepianu. Na pulpicie leżała partytura – *Requiem* Mozarta, otwarta na *Lacrimosa*. Dotknął klawiszy, cicho, nie naciskając. Pod palcami poczuł kurz.

— Hartmann miał wrogów? — Zapytał.

— Nie ustalono żadnych. Był lubiany, szanowany. Trochę samotnik, ale nie konfliktowy.

— Rodzina?

— Żona zmarła pięć lat temu. Dzieci nie mieli. Był jedynakiem.

— Długi? Kochanki? Nałogi?

— Nic. Czyste życie. Za czyste, jeśli mnie pan pyta.

Krzyż uśmiechnął się krzywo.

— Nikt nie ma czystego życia. Zawsze jest tylko dobrze ukryty brud.

Wrócił do fotela, stanął przed nim, patrząc na ulicę przez okno. Deszcz przestał padać, ale niebo wciąż było ciężkie, jakby szykował się kolejny. Na ulicy szedł stary człowiek z parasolem, powoli, jakby każdy krok bolał. Krzyż patrzył, jak znika za rogiem.

— Chcę rozmawiać ze sprzątaczką. I z tym kolegą kompozytorem, któremu Hartmann pisał ostatniego SMS-a.

— Sprzątaczką mieszka niedaleko. Kolega, Gustav Lindner, pracuje w operze. Może pan się z nim spotkać dziś po południu.

— Dobrze — krzyż ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy drzwiach. — Jeszcze jedno. Ta krew. Czy laboratorium sprawdziło, czy nie pochodzi przypadkiem z jakiegoś archiwum? Może ktoś ukradł jakieś próbki, które przekazał po coś Hartmannowi?

Klein zamrugał.

— Jakiś w tym jest pomysł. Żadne archiwum ani laboratorium kradzieży nie zgłaszało.

— Sprawdź archiwalne próbki z laboratoriów policyjnych. Takie najstarsze jakie tam są. Przypuszczalnie powojenne. Jeżeli nic nie znajdziesz, wtedy obdzwon prywatne.

— Dużo roboty — skwitował Klein.

— Cholernie dużo, i żadnej gwarancji — dodał Krzyż.

Wyszli z apartamentu. Klein zamknął drzwi, zapieczętował je na nowo. Krzyż zapalił papierosa na klatce schodowej, ignorując tabliczkę *Rauchen verboten*.

Klein podsumował

— Nie wiem jak pan uważa, ale ta sprawa jest... dziwna.

— Wszystkie sprawy są dziwne. Dlatego my tu jesteśmy.

Zeszli na dół, wyszli na ulicę. Wiedeń wciąż pachniał deszczem i tajemnicą.

Krzyż zgasił papierosa o ścianę budynku, zostawiając kolejny ślad w długiej linii poprzednich.

— Jedź. Sprzątaczką czeka.

Klein kiwnął głową, wsiadł do auta. Krzyż usiadł obok, patrzył przez szybę na miasto, które udawało, że jest piękne. Ale każde miasto miało swoją ciemność. I Krzyż właśnie przybył, żeby ją znaleźć.

Pani Müller mieszkała w dzielnicy Favoriten, w bloku z lat siedemdziesiątych, który wyglądał jak betonowy pomnik smutku. Krzyż stał przed wejściem, paląc papierosa i patrząc na dzieci bawiące się na podwórku – krzyczały, biegały, jakby nie wiedziały jeszcze, że świat ma swoje granice.

Klein zaparkował auto i wysiadł, poprawiając krawat. Krzyż zgasił niedopałek o metalową balustradę.

— Która klatka?

— B, trzecie piętro, mieszkanie dwadzieścia trzy.

Weszli do środka. Klatka schodowa pachniała kapustą i starością. Na ścianach bazgroły, jakie zostawiają ludzie, którzy

już nie mają nadziei, więc chociaż zostawiają ślad. *Fatima + Mehmet. FCB forever. Polityka to kłamstwo.*

Krzyż czytał to wszystko, idąc po schodach. Każdy napis był jak okno do duszy kogoś, kto już dawno przestał wierzyć, że ktoś go zobaczy.

Trzecie piętro. Drzwi z plastikową wizytówką: *E. Müller*. Klein zapukał.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby pani Müller czekała za nimi od godziny.

Była drobna, może sześćdziesiąt pięć lat, włosy ścięte krótko, twarz poorana zmarszczkami, ale oczy żywe, uważne. Ubrana w ciemną sukienkę i fartuch, jakby właśnie kończyła sprzątanie własnego życia.

— Pani Müller? — Klein pokazał odznakę — Inspektor Klein, a to komisarz Krzyż. Możemy porozmawiać?

— Oczywiście — jej głos był cichy, ale pewny — proszę wejść.

Mieszkanie było małe, schludne, pełne kwiatów w doniczkach i zdjęć w ramkach — dzieci, wnuki, zmarły mąż w uniformie. Zapach kawy i środka do czyszczenia mebli. Pani Müller wskazała na kanapę.

— Proszę usiąść. Zrobię kawę.

— Nie trzeba — powiedział Krzyż, ale już szła do kuchni.

Klein usiadł na kanapie. Krzyż stał, patrząc na zdjęcia na ścianie. Stary człowiek w mundurze policyjnym. Data: 1982-2010. Zmarł w służbie?

Pani Müller wróciła z tacą, na której stały trzy filiżanki i dzbanek kawy.

— Mój mąż — powiedziała, widząc, na co patrzy Krzyż.

— Dwadzieścia osiem lat w policji. Zawał w radiowozie.

— Przykro mi.

— Mnie też — nalala kawę, podała im filiżanki — ale pan nie przyszedł rozmawiać o nim.

Krzyż usiadł w fotelu naprzeciwko. Kawa była mocna, gorzka, bez cukru. Dokładnie taka, jaką lubił.

— Chcę, żeby pani opowiedziała o Hartmannie — powiedział.

— Wszystko, co pani wie.

Pani Müller wzięła łyk kawy, spojrzała w okno, jakby szukała słów w deszczu, który znowu zaczął padać.

— Był dobrym człowiekiem — zaczęła — zawsze uprzejmy, zawsze płacił na czas. Nigdy nie krzyczał, nigdy nie zostawiał bałaganu. Jak ktoś, kto żył sam, ale z szacunkiem do siebie.

— Jak często pani u niego sprzątała?

— Dwa razy w tygodniu. Poniedziałek i środa. Zawsze o ósmej rano.

— I w ostatni poniedziałek?

— Tak. Przyszłam, jak zawsze. On już wyszedł, pewnie na spacer. Zawsze chodził na spacer rano. Sprzątałam, umyłam okna, wypolerowałam fortepian. Wszystko było normalne.

— Zauważyła pani coś dziwnego? Jakies przedmioty nie na swoim miejscu? Zapach? Cokolwiek?

Pani Müller zamyślała się.

— Nie. Wszystko było jak zawsze. Może... — zawahała się.

— Może co?

— Może tylko to, że na stoliku w salonie stała szklanka. Pusta, ale zostawiona. To było dziwne, bo pan Hartmann nigdy nie zostawiał szklanek. Zawsze odkładał do kuchni.

Krzyż pochylił się do przodu.

— Jedna szklanka?

— Tak. Wysoka, do whisky. Pomyślałam, że może zapomniał, bo był zajęty. Umyłam ją i odstawiłam do kredensu.

Klein spojrzał na Krzyża. Krzyż milczał, ale w jego głowie coś kliknęło.

— A w śróde? Kiedy pani go znalazła?

Głos pani Müller stał się cichszy, jakby wspomnienie było zbyt ciężkie, żeby je mówić głośno.

— Przyszłam o ósmej. Zadzwoiłam do drzwi, jak zawsze, ale nikt nie otworzył. Pomyślałam, że może wyszedł. Ale potem przypomniałam sobie, że we wtorek miał próbę w operze, a nigdy nie opuszczał prób. Zadzwoiłam jeszcze raz. Nic. Więc otworzyłam kluczem.

— I?

— I zobaczyłam go. W fotelu. Siedział, patrzył przez okno. Pomyślałam, że śpi. Ale potem... potem podeszłam bliżej. — Jej głos zadrżał. — Ręce były zimne. Oczy otwarte. Krzyczałam. Nie wiem, jak długo. W końcu przybiegł sąsiad, zadzwonił na policję.

Krzyż czekał, aż kobieta się uspokoi. Klein wyciągnął chusteczkę, ale pani Müller potrząsnęła głową.

— Przepraszam. To było... straszne.

— Rozumiem. — Krzyż wziął łyk kawy. — Pani Müller, czy w tym mieszkaniu bywały inne osoby? Goście, przyjaciele?

— Rzadko. Pan Hartmann był samotnikiem. Czasem przychodził Gustav, jego kolega z opery. Czasem jakaś pani z wydawnictwa muzycznego. Ale to wszystko.

— Gustav Lindner?

— Tak. Miły człowiek. Też kompozytor. Często przychodzili razem grać na fortepianie.

— A ta pani z wydawnictwa?

— Młoda, elegancka. Nie pamiętam nazwiska. Przynosiła mu nuty, dokumenty. Byli zawsze bardzo oficjalni.

Krzyż skinął głową.

— Czy pan Hartmann wspominał kiedyś o przeszłości? O rodzinie? O czymś, co go martwiło?

Pani Müller zastanowiła się długo.

— Nie. Mówił mało o sobie. Ale... — znowu zawahała się.

— Proszę mówić.

— Raz, może dwa miesiące temu, zobaczyłam na jego biurku stare zdjęcie. Czarno-białe, sprzed wielu lat. Ludzie w starych strojach, gdzieś w górach. Zapytałam, kto to. Powiedział, że to jego matka i ojciec w Tyrolu, gdzie się poznali. Ale powiedział to tak... dziwnie. Jakby to wspomnienie bolało.

— Zachował to zdjęcie?

— Nie wiem. Nie widziałam go potem.

Krzyż wstał, podszedł do okna. Na podwórku dzieci dalej się bawiły, ale teraz bez krzyków, jakby deszcz zabrał im głos.

— Pani Müller, jeszcze jedno pytanie. Czy pan Hartmann bał się czegoś? Ktoś go nachodził? Groził?

— Nie, skądże. Był spokojny, zawsze.

— Dziękuję, pani Müller. Jeśli pani coś jeszcze przypomni, proszę zadzwonić. — Klein wyjął wizytówkę, położył na stole.

Pani Müller odprowadziła ich do drzwi. Zanim wyszli, dotknęła ramienia Krzyża.

— Proszę go znaleźć.

— Kogo?

— Tego, kto to zrobił. Nie wierzę, że Hartmann sam tego dokonał. Mój mąż zawsze mówił, że najpierw znajdujesz winnego, a potem dopiero zaczynasz rozumieć, dlaczego. Ale zawsze trzeba znaleźć. Tu na pewno jest winny.

Krzyż spojrzał jej w oczy. Były w nich łzy, których nie chciała wypłakać.

— Jeżeli ktoś to zrobił, to go znajdę.

W drodze powrotnej Klein milczał, prowadząc przez wąskie uliczki Wiednia. Krzyż palił papierosa przy uchylonym oknie, patrząc na miasto, które teraz wydawało się jeszcze bardziej obce.

— Co pan myśli? — Zapytał w końcu Klein.

— Myślę, że Hartmann wiedział, że umrze.

— Skąd pan to wie?

— Bo nic nie zostawił nie na miejscu. Żadnego chaosu, żadnej walki. Człowiek, który wie, że umiera, porządkuje swój świat. Żeby inni nie musieli sprzątać.

Klein zastanowił się.

— Ale skąd wiedział?

— Tego jeszcze nie wiem — Krzyż zgasił papierosa — ale to zdjecie, które widziała sprzątaczką. Chcę je znaleźć.

— W jego mieszkaniu?

— Albo gdzieś w archiwach rodzinnych. Cokolwiek to było, Hartmann ukrył to nie bez powodu.

Klein skinął głową.

— A teraz?

— Teraz Gustav Lindner. Kolega z opery. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiali w ostatnich dniach.

— Opera pracuje do szesnastej. Możemy go złapać na miejscu.

— Dobrze.

Jechali dalej przez centrum. Wiedeń był piękny, elegancki, pełen historii. Ale Krzyż widział tylko cienie między budynkami, miejsca, gdzie światło nie docierało.

Bo w każdym mieście jest ciemność. I zawsze jest ktoś, kto w niej czeka.

Opera Wiedeńska wyglądała jak pałac zbudowany dla duchów. Krzyż stał przed wejściem, patrząc na fasadę z kolumnami i rzeźbami, które miały przypominać o wielkości, ale przypominały tylko o pysze. Klein gadał przez telefon z kimś z administracji, Krzyż palił papierosa i obserwował ludzi wchodzących i wychodzących – turyści z przewodnikami, pracownicy w czarnych strojach, kobieta ciągnąca wózek pełen kostiumów.

— Lindner czeka w sali prób — powiedział Klein, chowając telefon — piętro niżej, przez garderoby.

Weszli do środka. Hol ogromny, sufit zdobiony freskami, schody marmurowe, wszystko lśniące jak w filmie, którego nikt nie chce oglądać drugi raz. Krzyż siedł za Kleinem przez korytarze pełne plakatów, zdjęć, programów z premier. *Rigoletto. Traviata. Don Giovanni*. Nazwiska, daty, uśmiechy ludzi, którzy udawali kogoś innego za pieniądze.

Schody w dół były wąskie, ciemne, pachniały farbą i stęchlizną. Świat za kulisami zawsze był brzydszy niż ten na scenie.

Sala prób była przestronna, pusta, tylko wielki fortepian Steinway w centrum i krzesła ustawione pod ścianami. Przy fortepianie siedział mężczyzna, może pięćdziesiąt pięć lat, siwe włosy związane w kucyk, okulary w cienkich oprawkach, ubrany w czarny golf i spodnie sztruksowe. Grał coś wolnego, smutnego — Krzyż nie znał się na muzyce, ale rozpoznał smutek, kiedy go słyszał.

Lindner przestał grać, kiedy ich zobaczył. Wstał, wyciągnął rękę.

— Gustav Lindner. Pan jest z policji?

— Komisarz Krzyż. To inspektor Klein.

— Proszę usiąść — wskazał krzesła. — Kawy?

— Nie trzeba — powiedział Krzyż, ale Lindner już nalewał z termosu do plastikowych kubków. Kawa była chłodna, gorzka, nie do picia. Krzyż pił.

Lindner usiadł na krześle przy fortepianie, skrzyżował nogi, patrzył na nich z tym wyrazem twarzy, jaki mają ludzie czekający na cios.

— Leo nie żyje — powiedział cicho — wciąż nie mogę w to uwierzyć.

— Jak długo się pan z nim znał? — zapytał Krzyż.

— Dwadzieścia lat. Może więcej. Poznaliśmy się na festiwalu w Salzburgu. On komponował, ja dyrygowałem. Zostaliśmy przyjaciółmi. — Lindner zdjął okulary, przetarł je chusteczką. — Był jak brat.

— Kiedy pan go ostatni raz widział?

— W niedzielę. Spotkaliśmy się tu, w operze. Pracowaliśmy nad jego nową operą. Opartą na tekstach Rilkego. *Księga godzin*. Miała mieć premierę w przyszłym roku.

— Jak wyglądał?

Lindner zawahał się.

— Normalnie. Może trochę zmęczony. Ale Leo zawsze był zmęczony. Mówił, że muzyka go wyssała.

— Rozmawialiście o czymś poza pracą?

— Tak. Trochę. — Lindner założył okulary z powrotem. — Mówił, że ma przeczucie.

Krzyż pochylił się do przodu.

— Jakie przeczucie?

— Że czas się kończy. Powiedział to dokładnie tak. *Czas się kończy, Gustavie. I to dobrze.* Zapytałem, co ma na myśli. Powiedział, że nie wie. Ale że czuje to w kościach. Jak zwierzę przed burzą.

Klein notował coś w notesie. Krzyż patrzył na Lindnera, próbując przeczytać, czy kłamie, czy tylko ukrywa.

— Wspominał o kimś? O zagrożeniu?

— Nie. Ale... — Lindner zawahał się znowu.

— Ale?

— Ostatnio był dziwny. Nie to, żeby zły czy przestraszony. Bardziej... pogodzony. Jakby wiedział, że coś się stanie i już się

z tym zgodził. Trochę się tym niepokoiłem, ale nie umiałem mu pomóc.

— Od kiedy był taki?

— Od dwóch, może trzech miesięcy. Zaczęło się po tym, jak dostał list.

Krzyż zamrugał.

— Jaki list?

— Nie wiem. Nie chciał mi pokazać. Powiedział tylko, że to sprawa rodzinna. Stara sprawa. Powiedział, że czasem przeszłość wraca i trzeba ją przyjąć.

— Gdzie jest ten list?

— Nie wiem. Może w jego mieszkaniu. Może go zniszczył.

Klein wyjął telefon, napisał szybkiego SMS-a do techników:
Sprawdźcie mieszkanie Hartmanna, każdy kawałek papieru, każdy list. KSK.

Schował telefon, spojrzał na Lindnera.

— Czy Hartmann miał wrogów?

— Nie. Był lubiany. Może za bardzo lubiany. Ludzie w tym środowisku albo cię nienawidzą, albo cię uwielbiają. Leo był uwielbiany.

— A kobiety?

Lindner uśmiechnął się smutno.

— Leo był wdowcem od pięciu lat. Kochał swoją żonę jak szalenię. Po jej śmierci nie było już nikogo. Mówił, że miłość to coś, co się staje tylko raz, reszta to tylko ciepło przy ogniu, który już zgasł.

— Poeta.

— Był.

Krzyż wstał, podszedł do fortepianu. Dotknął klawiszy, cicho, nie naciskając. Pod palcami poczuł zimno.

— Co pan grał, kiedy weszliśmy?

— *Lacrimosa*. Mozart. — Lindner spojrzał na niego uważnie — To było ulubione Leo. Mówił, że to najpiękniejsza muzyka o śmierci, jaką kiedykolwiek napisano.

— Dlaczego o śmierci?

— Bo Mozart umarł, zanim ją skończył. To było jego ostatnie dzieło. Niedokończone, jak każde życie.

Krzyż oparł się o fortepian.

— Lindner, czy Hartmann mówił coś o swojej rodzinie? O przeszłości?

— Niewiele. Wiem, że jego matka pochodziła z jakiejś wioski z okolic Tyrolu. Rodzina górską, tradycyjną. Ojciec zmarł, kiedy

Leo był nastolatkiem. Powiedział kiedyś, że matka nauczyła go, że muzyka to modlitwa, a modlitwa to dialog z tym, czego nie widać. O ojcu mówił tylko, że był surowy.

— A dziadkowie? Dalsi krewni?

— Nie mówił o nich.

Krzyż skinął głową.

— To wszystko?

— Tak. — Lindner wstał, podszedł do okna, które wychodziło na ulicę. Deszcz znowu padał, ciężki, miarowy — Wiesz, komisarzy, ludzie myślą, że artyści to marzyciele, że żyją w chmurach. Ale my żyjemy bliżej ziemi niż ktokolwiek inny. Bo wiemy, że piękno i śmierć to to samo, tylko oglądane z innej strony.

Krzyż zapalił papierosa, ignorując znak zakazu palenia na ścianie.

— Miał pan rację. Leo nie był tylko kompozytorem. Był poetą.

— Był moim przyjacielem — głos Lindnera zadrżał — i ktoś go zabił prawda?

— Jeżeli tak, to znajdę go.

— A co wtedy?

— Wtedy zapłaci.

Lindner odwrócił się od okna, spojrzał na niego długo, jakby chciał sprawdzić, czy te słowa coś znaczą.

— Czy wystarczy?

Krzyż zgasił papierosa o parapet.

— Nigdy nie wystarczy. Ale to wszystko, co mamy.

Wyszli z opery, kiedy zmierzchało. Wiedeń zapalał światła, ulice wypełniały się ludźmi, którzy szli do restauracji, teatrów, hoteli, jakby próbowali uciec przed ciemnością, która zawsze przychodzi.

Klein zawiózł Krzyża do hotelu – mały, elegancki budynek niedaleko centrum, pokój na trzecim piętrze z widokiem na park. Krzyż rzucił torbę na łóżko, zdjął płaszcz, usiadł w fotelu przy oknie i patrzył na miasto.

Po godzinie telefon zawibrował. SMS od Kleina. *Technicy znaleźli list. Wysyłam skan.*

Krzyż otworzył załącznik. List był stary, pożółkły, pisany odręcznie tuszem, po niemiecku. Pismo staromodne, drżące, jakby pisał ktoś stary albo chory.

Krzyż nie znał niemieckiego aż tak dobrze, ale rozumiał wystarczająco.

Drogi Panie Hartmann,

Piszę do Pana, ponieważ czas nie zapomina, choć ludzie próbują. Wiem, kim Pan jest. Wiem, co nosi Pan w krwi. Przeszłość ma swoje prawa, a długi muszą być spłacone.

Proszę nie uciekać. To bezcelowe. Wkrótce spotkamy się tam, gdzie wszystko się zaczęło.

*Z szacunkiem,
Ktoś, kto pamięta.*